



CYCHOL HALINA

KUGLERKA

---

JELENIA GÓRA 2009

Długo szukała swojego miejsca na ziemi. Kiedy dziś po pięćdziesięciu latach zamieszkania w Kotlinie Jeleniogórskiej odwiedzam ją w małym domku pod Chojnikami - chorą już, ale jak zawsze radosną, pełną optymizmu i zadbaną. Opowiedziała mi swoją historię z pewnym zażenowaniem i powątpiewaniem, czy jej osobiste przeżycia są w stanie kogokolwiek zaciekawić. Kiedy upewniłam ją, że tak, już rozluźniona, zdejmując okulary, poprawia włosy a potem częstuje mnie kawą w fajansowych, ręcznie malowanych bolesławieckich filiżankach i sadowiąc się wygodnie w bujanym fotelu rozpoczyna zwierzenia:

Pochodziłam z wielodzietnej rodziny na kielecczyźnie. Rodzice - rolnicy w tamtych powojennych latach ledwo wiązali koniec z końcem i nie mogli wszystkim dzieciom zapewnić wykształcenia. A ja chciałam zdawać do liceum plastycznego. Sęk w tym, że nie było tam internatu a na stancje rodziców nie było stać. Więc, zbuntowana, obrażona na cały świat wybrałam sobie pokrewną szkołę zawodową o specjalności zdobnik szkła, z internatem i całorocznym stypendium. I tak oto zostałam „kuglerką”. Po trzech latach nauki zdobyłam uprawnienia czeladnicze, ale co dalej? Zaczęłam szukać pracy. Wiadomo. W Małopolsce jej nie było i tak trafiłam tutaj, do szklarskiego zagłębia.

W Stroniu Śląskim gdzie znalazło zatrudnienie wiele moich koleżanek po fachu, zaoferowano mi miejsce w hotelu robotniczym. Nie skorzystałam z tej propozycji, bo jeszcze w szkole, w Zawierciu byłam niejednokrotnie świadkiem degradacji młodych chłopców - hutników szkła, którzy mając pieniądze i żadnych poza alkoholem zainteresowań, w hotelu obok, pod internatem dziewcząt wyczyniali pijackie burdy. Takiej powtórki z rozrywki nie chciałam. W Piechowickiej hucie szkła uśmiechnięty kadrowy wylał mi na głowę kubel zimnej wody. - Wie pani, w szlifierni ciężka praca...wolimy jednak zatrudniać mężczyzn...Ale w „Julii” w Szklarskiej Porębie była inna rozmowa, gdyż kadrową była kobieta. W brygadzie, do której mnie skierowano pracowało w systemie akordowym wielu młodych ludzi, więc nie było kłopotu z nawiązywaniem przyjaźni. Gorzej z mieszkaniem. Obca, nieznająca terenu ani specyficznego dla tego regionu konglomeratu mieszkańców, przez letni sezon wynajmowałam pokój u młodego małżeństwa w Szklarskiej Średniej. Wstawałam o piątej rano i biegiem pędziłam na pierwszą zmianę. Praca akordowa to nie zbieranie kwiatków na łące. Po kilku godzinach od trzymania kryształowych wazonów, salaterek, karafek nad tarczą szlifierską omdlewają ręce. Po pracy nie miałam ani siły, ani ochoty

podziwiać piękno Karkonoszy, zjadałam cokolwiek i kładłam się na odpoczynek. Taka „idylla” trwała do jesieni. Na inne życie nie było ani siły ani czasu. Wie pani jak to jest na stażu. Mizerna pensja wystarczyła tylko na opłacenie pokoju i na życie, dlatego z kasy zapomogowo - pożyczkowej musiałam wziąć pożyczkę na kupno butów i zimowego płaszcza. Aby spłacić raty, często na nocnej zmianie pakowałam kryształy na eksport. Dlatego wynajęłam mieszkanie bliżej huty u pewnej toksycznej ukraińskiej rodziny. Zobaczyłam też inny świat. Świat blichtru, wczasowych rozrywek beztroskiej zabawy, na które nie było mnie stać. Marzyłam o innym, lepszym życiu bez niewolniczej pracy, o miłości, o rodzinie...A tu rzeczywistość skrzeczy...

Dwa momenty zadecydowały o zmianie mojego sposobu myślenia. Pierwszym była wycieczka z koleżanką w piękną, jesienną niedzielę pod koniec lat pięćdziesiątych do małego domku Vlastimila Hoffmana. Staruszek jeszcze żwawy, jeszcze o sprawnych oczach i rękach ucieszył się z wizyty młodych ludzi. Pokazał swoją pracownię, obrazy opowiadał o młodości spędzonej w rodzinnej złotej Pradze a potem w Krakowie, o swoim mistrzu i nauczycielu -Jacku Malczewskim... Zauroczona jego twórczością wpisałam się do księgi pamiątkowej i pomyślałam, że chciałabym mieć taką cichą i pogodną przystań na starość. Na razie jeszcze nie wiedziałam, jakim sposobem to osiągnę, ale czas pokazał, że byłam zdolna do otwarcia się na zmiany, na przyszłość nieco inną niż mój robotniczy stan. Przecież ustrój, jaki by wtedy nie był, choć dziś bezlitośnie krytykowany dawał młodym szanse na zdobycie bezpłatnego wykształcenia, na awans społeczny.

Drugim takim momentem było spotkanie z hrabiną. Przy długim, pokrytym ceratą stole, kobiety pracujące na nocnej zmianie naklejały złote firmowe nalepki na eksportowy towar huty „Julia”, niebieskie zaś na asortyment przeznaczony na rynek krajowy. Zaintrygowała mnie wtedy moja sąsiadka: drobna, starsza kobieta o krótko ściętych siwych włosach, milcząca, o wypielęgnowanych dłoniach, którą robotnice z ironicznym uśmiechem przezywały „hrabiną”. Pani ta, pracując jak automat nigdy z nikim nie wdawała się w dyskusje, jednakże do pracowników huty odnosiła się z uprzejmą rezerwą. Rozsadzała mnie ciekawość, aby dowiedzieć się czegoś więcej o kobiecie, która tkwiła na krześle niby drzazga w dłoni przy stole zarzuconym szkłem prosto z kuglarni. Nie chciało mi się wierzyć, że takie relikty przeszłości jeszcze istnieją.

Musiałam to koniecznie sprawdzić, lecz nie starczyło mi odwagi, aby zapytać ją o to wprost. Pomógł mi przypadek.

Pewnego dnia moja sąsiadka schyliła się po taśmę klejącą, która zsunęła jej się z kolan a wtedy z granatowego, roboczego fartucha wypadł na podłogę złoty pierścionek z przezroczystym oczkiem. Podniosłam i podałam go jej bez słowa.

- To taka mała, rodzinna pamiątka, powiedziała zreferowana - ostatnia z kilku drobiazgów, które ocaliły mi życie - dodała, wsuwając pierścionek na serdeczny palec. Od tamtej pory nie rozstawała się z nim ani na chwilę. Oczko pierścionka rozsiewając ciepły, tajemniczy blask - biały i czysty jak jej uduchowiona twarz pochylona nad szklanym rękodziełem, było dla mnie prostej, wiejskiej dziewczyny symbolem świata startego na proch przez wojnę i ustrój po niej, świata, który znałam zaledwie z opowieści rodziców albo z książek. W pracy nigdy nie chciała o sobie mówić. - Hrabina Czajkin -obszarniczka z Ukrainy - szeptali, między sobą robotnicy, kiedy przechodziła obok. A ja zaciekawiona zaczęłam się bawić w detektywa, postanowiłam ją śledzić. Po pracy, zwykle udawała się na zakupy, potem przy oknie siadywała z książką w ręku a wieczorami grywała na pianinie. Ukryta w zieleni parku naprzeciw domu, który dzieliła z jakąś robotniczą rodziną słuchałam wydobywającej się z okna na poddaszu muzyki tak słodkiej i zniewalającej, że; przykuwała mnie ona do siebie niczym węża hipnotyzujący wzrok fakira. Kiedyś, po dłuższej nieobecności w pracy starszej pani postanowiłam ją odwiedzić. Kupiłam trzy czerwone goździki i stanęłam pod drzwiami. Było cicho, nacisnęłam dzwonek, nikt nie otwierał. Weszłam.

Na tapczanie leżała blada, chora hrabina przykryta kraciastym kocem. Na mój widok uśmiechnęła się przepraszająco i wskazała krzesło obok. Spojrzałam na jej dłonie. Na wychudłych palcach nie było złotego pierścionka z brylancikiem.

- Sprzedałam go na lekarstwa, powiedziała widząc moje zdziwienie... .Muszę jechać do sanatorium...przez te wszystkie lata złapałam gruźlicę. Teraz będę udzielać lekcji muzyki. - Ale ty dziecko musisz stąd uciekać.. Jesteś ładna, młoda, musisz się uczyć-mówiła z trudem . - Nie marnuj swoich najpiękniejszych lat w fabryce...to miejsce nie dla ciebie, od tej pracy nabawisz się reumatyzmu... Wstawiłam kwiaty do wazonu i pożegnałam hrabinę życząc jej zdrowia. Jednakże nie zapomniałam tego, co do mnie powiedziała..

Wie pani. Nigdy nie wierzyłam w bajki, a tu bajka o Kopciuszku sama do mnie przyszła. Pewnego dnia w autobusie spotkałam swojego królewicza z odległych stron, z białostoczczyzny. Właśnie dostał nakaz pracy w „Fampie”, jako inżynier zmianowy no i popełnił ze mną mezalians. Pokochał mnie taką, jaką jestem, rozumiał, wspierał i pomagał w osiąganiu lepszego statusu społecznego i zawodowego. Pracowałam jeszcze rok w sobieszowskiej szlifierni, a potem po urodzeniu dziecka poszłam do wieczorówki. Na urlopie wychowawczym zakuwałam do matury. Po drugim dziecku kończyłam studium nauczycielskie i zaczęłam realizować się w pracy w szkole. Byłam w swoim żywiole. Przy trzecim dziecku kończyłam już studia pedagogiczne w Opolu. Trzydzieści lat pracy z młodzieżą w ukochanym zawodzie wycisnęło swoje piętno. Jestem osobą na emeryturze szczęśliwą i spełnioną. Rozumiem ludzi i w miarę sił, i możliwości staram się im pomagać. Miałam udane życie chyba, dlatego, że w odpowiednim momencie na swojej drodze spotkałam ciekawe i życzliwe mi osoby. Mam cichą przystań taką jak niegdyś Vlastimil, gromadkę wnucząt maluję po amatorsku może nie tak pięknie jak on, ale daje mi to radość. Zmienił się ustrój. W takim żyła niegdyś „moja” hrabina. Zakłady szklarskie padły. Huta „Julia „ straszy dziś turystów wyeksploatowanymi budynkami a z tamtej kuglerki, którą niegdyś byłam zostały mi na pamiątkę jak pani widzi spracowane dłonie bez pierścionków, i kolekcja niemodnych już dziś kryształów poukładanych starannie w kredensie.